

WOJCIECH
CHMIELARZ

KRÓLOWA GŁODU

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Wojciech Chmielarz

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Nowa Holandia ze swoimi gęstymi, mrocznymi borami, gdzie rozłożyste korony drzew odcinały ziemię od promieni słońca i nawet w środku mroźnej zimy panował tu zaduch i czuć było stęchliznę, stanowiła nieprzyjazną człowiekowi krainę. Zamieszkiwały ją plemiona żleboździedzi, stada dzikich psów i wilków czy żarłoczne, kryjące się wśród bagien płaskogrzbiety. Łatwo było się tam zgubić, stracić orientację wśród mokradel, wilgotnych wąwozów czy potężnych – bo ich średnica sięgała nieraz podwójnej wysokości dorosłego człowieka – powalonych pni i potem tygodniami błądzić po groźnych ostępach, powoli pogrążając się w szaleństwie wywołanym głodem, zmęczeniem i samotnością.

Bram właśnie tam się wychował. Od dziecka brał udział w polowaniach. Przyzwyczyił się do niebezpieczeństw, potrafił poruszać się po leśnych ścieżkach, nie bał się drapieżników i potworów, które mogą się czaić w głębi kniei, ale to miejsce... To miejsce było po prostu złe. Wyczuwał to przez skórę. Pachniało krwią i śmiercią. Dziwne swędzenie z tyłu głowy, jakby ktoś wbijał mu tysiące malutkich igiełek, nie pozwalało zapomnieć o niepokoju, który dręczył go, od kiedy cztery dni wcześniej przekroczył granice Federacji i ruszył w stronę Kaźni.

Gdy był w ruchu, czuł się bezpiecznie, więc niechętnie stawał na odpoczynek. Zapadł jednak zmrok i dalsza podróż stała się zbyt ryzykowna.

Obóz rozbił z dala od szlaku, w skalnym załomie, skąd mógł obserwować najbliższą okolicę, samemu będąc niewidocznym. Rozsiodłał i oporządził konia, przywiązał go do konara uschniętego drzewa i przygotował sobie lekką kolację. Potem usiadł pod skałą, z karabinem myśliwskim na kolanach i szablą pod ręką, i pomiędzy jednym a drugim sucharem modlił się szepcąc o spokojną noc.

Wierzchowiec prychnął przestraszony i zaczął bić kopytami o ziemię. Bram wstał po cichu. Podniósł karabin. Odbezpieczył broń. Nagle poczuł to, co koń musiał poczuć już wcześniej: ostry smród zgnilizny i potu. Żaden drapieżnik nie mógł tak pachnieć, bo ofiara odkryłaby jego obecność przy najmniejszym powiewie wiatru. Żaden – poza tymi, które polowały na ludzi.

Stanął na lekko rozstawionych nogach. Zerknął na szablę i sprawdził, czy będzie mógł po nią szybko sięgnąć. Przybrał pozycję strzelecką. Zapach stawał się coraz bardziej intensywny. W ciemności trzasnęła łamana gałąź. Cokolwiek się zbliżało, było wielkie. Sapało jak miech kowalski, podniecone i głodne.

Przełknął ślinę i zrobił dwa głębokie wdechy.

Zza najbliższej skały wyłonił się żlebodźwiedz. Poruszał się niespiesznie, wręcz lekceważąco. Był wielki, umięśniony. Okolice grzbietu i pyska pokrywały grube kostne guzy.

Holender nieznacznie obniżył lufę karabinu.

– Wkroczyłem na twój teren, prawda? Nie chciałem. Pozwól mi tylko, a stąd odejdę i nie będę cię więcej niepokoił.

Żlebodźwiedz w odpowiedzi wyszczerzył długie na palec i ostre jak brzytwa kły w grymasie, który można by wziąć za

szyderczy uśmiech. Koń zarżał dziko. Szarpał się na wszystkie strony tak mocno, że uzda złobiła krwawe pręgi na jego pysku.

Holender nie miał szansy na ucieczkę. Żlebodźwiedź, ciężki i na pozór niezdatny, na krótkich dystansach biegał znacznie szybciej od człowieka.

Potwór zrobił krok w jego stronę. Ugiął się na przednich łapach, wyprężył grzbiet i ryknął, aż zadrżały okoliczne drzewa. Odór z jego pyska sprawił, że suchary powędrowały Bramowi z żołądka z powrotem do ust. Mężczyzna wycelował i strzelił.

Pierwsza kula uderzyła w kostny guz, odbiła się od niego i rykoszetem trafiła w pobliski pień. Druga – taką przynajmniej Holender miał nadzieję – wbiła się w ciało stwora, jednak ten nawet tego nie zauważył. Ruszył pędem, wystawiając do przodu potężne, pokryte zakrzepłą krwią łapy, uzbrojone w cztery lśniące czernią pazury.

Bram odrzucił karabin i chwycił za szablę. Uskoczył i pchnął na oslep, desperacko, z całej siły, ale z przerażeniem poczuł, że uderzył w guz. Ostrze zjechało w bok, zadając potworowi niewielką płytką ranę, która nie zrobiła na nim wrażenia większego niż ukłucie komara.

Holender cofnął się o kilka kroków. Szablę trzymał w obu dłoniach, bo nie potrafił powstrzymać drżenia ramion. Żlebodźwiedź odwrócił się pyskiem do niego. W jego oczach tańczyły iskry drwiny.

– Nie zbliżaj się! – ostrzegł go Bram i machnął szablą ostrzegawczo.

Żlebodźwiedź tylko prychnął, a wraz z prychnięciem z pyska wyleciała chmura śliny oraz pary. Nagle skoczył przed siebie tak szybko, jakby jego wielkie cielsko składało się z powietrza, a nie z twardych jak stal kości i masywnych mięśni.

Bram uniknął ataku w ostatniej chwili. Pazury przeleciały mu tuż przed twarzą, ale w tej samej sekundzie powalił go cios drugiej łapy wymierzony w nogi. Holender ciął. Ostrze zmieniło nieco trajektorię i trafiło tuż pod pazurami, pomiędzy kostne płyty. Musiał tam być jakiś nerw, bo żlebodźwiedz ryknął przerażliwie i stanął na tylnych łapach.

Mężczyzna poderwał się z ziemi i pobiegł przed siebie, byle dalej od potwora. Ledwo zrobił dwa kroki, coś ciężkiego i wielkiego spadło mu na głowę. Świat zatańczył Bramowi przed oczami, nogi same się ugięły pod ciężarem tułowia i Holender poleciał wprost w objęcia twardej, zimnej ziemi. Nawet nie poczuł upadku. Ogarnęła go ciemność. Żlebodźwiedz ryczał tryumfalnie.

Uschnięte drzewo poddało się wreszcie i pękło, uwalniając przerażonego wierzchowca. Koń galopem przebiegł obok Holendra, który w ostatnim odruchu świadomości zacisnął dłoń na rękojeści szabli. Nim stracił przytomność, wydawało mu się, że słyszy huk wystrzału.

A potem nie było już nic.

*

Stan Biszek miał pociągłą twarz, odstające uszy, wielkie oczekiwania wobec świata oraz więcej marzeń niż rozumu. Teraz siedział w ciemnym pokoju, który rozświetlała tylko jedna, tłąca się z trudem świeca, wsłuchiwał się w dochodzące z dołu odgłosy pijackiej zabawy, popijał wódkę i rozmyślał o tym, że co jak co, ale nie zrobił przecież niczego złego i on swojej części tej pojebanej umowy dotrzymał. Taka była prawda i Siren, jeśli był porządnym człowiekiem, a za takiego się przecież podawał, musiał to zrozumieć.

Drżącymi palcami odstawił kieliszek na stół. Sięgnął do kieszeni kurtki po brudną chusteczkę, otarł nią pot z czoła, a potem starannie wytarł ręce. Ktoś z dołu zarechotał wyjątkowo głośno. Stanowi wydawało się, że to z niego się śmieją. Zacisnął ze złości zęby, chwycił na wpół pustą butelkę i napełnił kieliszek. Wypił go jednym haustem. Wściekłe ciepło rozlało się po całym jego ciele.

Spojrzał w kąt pokoju, gdzie leżała związana dziewczynka.

– Zamknij się, ty mała dziwko – warknął w jej kierunku, chociaż dziecko od dłuższego czasu się nie odzywało. Z trudem oddychało przez szmatę, którą miało wciśniętą w usta.

Stan wstał. Musiał podeprzeć się ściany, żeby nie upaść.

– Zamknij się, kurwo – powtórzył.

Przestraszona dziewczynka strzeliła oczami i przytuliła się do ściany. Stan zdecydował, że powinien ją ukarać. W końcu to także z jej powodu znalazł się tutaj dzisiejszej nocy. A właściwie, uświadomił sobie nagle, ona nie miała z tym nic wspólnego, ale przecież kiedy ją tu prowadził, przemykając wśród cieni tylnymi uliczkami niczym złodziej, ugryzła go w rękę aż do krwi. Bolało go do teraz, czuł, jak rana pulsuje pod prowizorycznym opatrunkiem. Trzeba pokazać tej małej, gdzie jest jej miejsce. Im szybciej, tym lepiej.

Nie zdążył. Drzwi od pokoju otworzyły się i do środka wszedł Stary Lukas z lampą naftową w jednej i taboretem w drugiej dłoni. Lampę postawił na stole, a taboret naprzeciwko krzesła, które zajmował Stan. Za Lukaszem pojawił się Iwan. Potężny Rosjanin o białych, krótko ostrzyżonych włosach i ciepłych, brązowych, przyjaznych jak u cocker-spaniela oczach, zlustrował pomieszczenie. Kiedy stwierdził, że żadna ze znajdujących się tam osób nie stanowi zagrożenia, po prostu oparł się o ścianę.

Dopiero na końcu wszedł Siren. Przywitał się ruchem głowy z Lukaszem, klepnął w ramię Iwana i zasiadł na taborecie.

– Stan – powiedział.

Dźwięk tego głosu, spokojny i łagodny, sprawił, że Biszek poczuł się tak, jakby tysiące mrówek przemaszerowało mu po plecach.

– James – odparł.

Siren dłonią wskazał na stolik.

– Pozwolisz, Stan?

– Oczywiście, James.

Siren sięgnął po kieliszek i butelkę wódki. Nalał sobie i odstawił alkohol odrobinę bliżej siebie niż poprzednio. Wypił jednym haustem i stęknął z zadowoleniem.

– Masz coś dla mnie, Stan? – zapytał, ocierając rękawem usta.

Biszek pokiwał głową.

– Tam – szepnął.

Siren nawet nie zerknął na leżącą w kącie dziewczynkę. Sięgnął po butelkę i nalał sobie kolejny kieliszek.

– Czy to twoja córka, Stan?

Serce Biszka zabiło gwałtownie. Przełknął z trudem ślinę.

– Nie, James. To nie jest moja córka. Ale ta jest lepsza. Ładniejsza od mojej. Moja to pokurcz, brzydka jest. Ta jest śliczna. Będziesz miał z nią dużo uciechy. Dużo, dużo uciechy.

Siren cmoknął rozczarowany.

– Prosiłem cię o twoją córkę, Stan.

– Ale ta dziewczyna jest lepsza.

– Gdzie jest twoja córka, Stan?!

Biszek zdrętwiał. Przez dłuższą chwilę nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Drżącym palcem wskazał na butelkę. Siren podał

mu pełen kieliszek. Stan przyjął go z wdzięcznością i szybko wypił.

– Nie wiem – powiedział wreszcie. – Uwierz mi, James, ale nie wiem. Ta kurwa z nią uciekła. Nie wiem, gdzie są.

– Jaka kurwa?

– Sara.

– Twoja żona? Twoja żona wzięła twoją córkę i uciekła? Mówiłeś, że trzymasz je krótko, że nie będzie żadnego problemu.

– Tak było. Trzymałem je krótko, James. Trzymałem. Ale Sara uciekła. I zabrała małą.

– Gdzie uciekła?

– Nie wiem, James. Nie wiem. Szukałem ich, ale nie wiem. Ale przecież nic się nie stało. Przyniosłem ci inną dziewczynkę, lepszą. Będziesz się z nią świetnie bawił, będziesz...

Biszek zamilkł w pół słowa. Siren spuścił głowę i wpatrywał się w podłogę.

– O Stan, Stan... Zaufałem ci, Stan. Prosiłeś mnie o pomoc, a ja ci pomogłem. Za to się płaci, Stan.

– Wiem, James.

– To prawda, dużo żądałem. Zdaję sobie z tego sprawę, ale przecież tak dużo dałem ci w zamian, Stan.

– James...

– Zawiodłeś mnie, Stan.

Nim Biszek zdążył zareagować, ręka Sirena zakreśliła łuk i butelka uderzyła go w głowę. Kawałki szkła wbiły się w czaszkę mężczyzny, krew zalała mu oczy, a wódka sprawiła, że poczuł się tak, jakby w mózgu zapłonął mu żywy ogień.

Poderwał się na nogi, ale w tym momencie ktoś pchnął go na ścianę i coś, delikatnego jak tchnienie wiatru, prześlizgnęło

się po jego gardle. Zrobiło mu się słabo. Upadł na ziemię. Krew strumieniem trysnęła z przeciętej tętnicy. Charczał, choć z sekundy na sekundę coraz słabiej.

Siren nachylił się nad drgającym Biszkiem i starannie wytarł nóż w jego ubranie.

– Co to za dziewczynka? – zapytał.

Iwan podszedł do dziecka, obrócił je do siebie i długo się przyglądał przestraszonej twarzyczce.

– To córka Suarezów – powiedział wreszcie.

Miał zachrypnięty, zmęczony głos.

– Suarezów? – jęknął Siren. – Jezu Chryste. To tacy dobrzy ludzie.

– Mam ją do nich odstawić?

Siren klęknął przy dziewczynce i nachylił się nad nią tak, żeby popatrzeć wprost w jej ciemne, przerażone oczy.

– To jeszcze dziecko – jęknął z tyłu Stary Lukas i pobladł, niezdolny do wykonania żadnego ruchu, gdy Siren poderwał się gwałtownie i ruszył do niego. Chwytał go za ubranie, przyciągnął do siebie, a zimne ostrze noża przyłożył starcowi do policzka.

– I co z tego? – warknął.

– To dziecko – powtórzył Lukas.

– Dzieci też gadają, a ona ma sporo do opowiedzenia. Rozumiesz?

Starzec kiwnął głową.

– Czyli nie masz nic przeciwko temu, żebym ją zabił?

Stary Lukas przełknął ślinę.

– Zrobisz to, co uważasz za słuszne, szeryfie – wyszeptał.

Siren puścił mężczyznę, odsunął ostrze od jego twarzy, a potem poklepał go po policzku.

– Zabierz małą do rodziców, Iwan – powiedział, nawet nie spoglądając na wielkoluda. – Powiesz im, że Biskwowski coś odbiło, porwał im córkę, ale już się nim zajęliśmy.

– A jeśli dziewczynka faktycznie zacznie gadać? – zapytał Iwan.

– Suarez to mądry facet. Sam zadba o to, żeby trzymała gębę na kłódkę.

Siren przetarł palcami włosy i po raz ostatni spojrzął na martwego Stana.

– Tyle kłopotów z takim gównem – mruknął pod nosem.

Wyszedł z pomieszczenia. Po chwili można było usłyszeć, jak jowialnie wita się z kimś we wspólnej sali.

ROZDZIAŁ 1

MARZENIA I KOSZMARY

Śniło mu się, że jest z powrotem na Kle. Stał wysoko na białej skale, a pod nim płonęła Nowa Holandia. Niebo było czerwone od ognia i szare od dymu, wapienie płakały, słysząc jęki zabijanych Holendrów. Trzymał karabin i wystrzeliwał jeden nabój za drugim, zdając sobie sprawę, że to bezcelowe. Że o wszystkim już zdecydowano i nic nie da się już zmienić. W tym śnie Kieł miał dobre sto metrów wysokości i sto bram, ale ani jedno, ani drugie nie stanowiło przeszkody dla głodnego potwora, który unicestwiał dom Brama.

Płakał wtedy. Płakał i strzelał. Potem siekał. Trafiał szablą w odnóża stwora o sześciu gardłach, a po każdym ciosie wylewała się na niego zielona flegma, dusząca i dziwnie słodka, zalepiająca gardło, nos, powieki.

Oczekiwał pomocy. Błagał o nią, modlił się, chociaż wiedział, że na żadną nie może liczyć. Oddali Utherowi wszystko – żołnierzy, pieniądze, technologię i w końcu swój honor. A on zostawił ich na łasce potwora.

Stwór machnął ogonem i choć Bram się zasłonił, cielsko strąciło go ze skały. Spadał. Prosto w dym i płomienie.

Obudził się spocony, z mocno bijącym sercem. Jakaś obręcz ścisnęła mu czaszkę tak mocno, że Holender miał wrażenie, że

głowa zaraz mu eksploduje. Macał koc wokół siebie, bezskutecznie próbując się spod niego uwolnić.

– Spokojnie – rozległ się nieznany mu głos. – Jesteś bezpieczny. Nic ci nie grozi.

Podniósł głowę. Patrzył na szczupłego mężczyznę o rozumnej, zmęczonej twarzy. Czarne włosy, lśniące od potu i tłuszczu, gładko zaczesane były do tyłu. Pod wydatnym orlim nosem pysniły się sumiaste wąsy, które sięgały aż do podbródka. Mężczyzna ubrany był prosto i praktycznie: w wojskowe znoszone spodnie i zwykłą lnianą koszulę.

Bram uznał, że nie ma się czego bać. Gdyby tamten chciał mu zrobić krzywdę, nie czekałby, aż Holender się obudzi.

Tymczasem czarnowłosa ściągnął z żeliwnego piecyka czajnik i nalał wrzątku do kubka. Postawił go obok Brama.

– Herbata brzozowa. Napij się.

Bram podziękował ruchem głowy. Mężczyzna usiadł na krześle w pobliżu. Z kieszeni spodni wyjął skórzaną torbę z tytoniem i kawałek papieru. Skręcił papierosa, po czym włożył sobie do ust.

– Zaatakował cię źlebodźwiedz – powiedział. – Trochę pokiereszował, ale nie jakoś bardzo strasznie. Będziesz zdrow.

– Pamiętam. Zaskoczył mnie. Nie spodziewałem się tutaj źlebodźwiedzi.

– Jedno z plemion żyje dwa, trzy dni drogi na północny zachód stąd – wyjaśnił mężczyzna. – Ten, który cię zaatakował, to był renegat. Ludojad. Skrzywdził już jedną rodzinę. Tropiłem go od pewnego czasu.

Włożył patyczek do płonącego piecyka, poczekał, aż chwyci go ogień, po czym odpałił od niego skręta. Zaciągnął się głęboko aromatycznym dymem.

– Piotr Lisiecki – przedstawił się po chwili i zatoczył łuk ręką. – To moja chata. Chyba można tak powiedzieć. Została opuszczona w czasie wojny. Nie wiem, czy pierwszej, czy drugiej. Korzystam z niej, kiedy jestem w pobliżu.

Holender wziął do rąk parujący kubek i napił się gorącego naparu. Potrzebował chwili, żeby zebrać myśli i rozważyć odpowiedź.

– Bram Huygens – powiedział wreszcie.

– Holender?

– Tak.

– Ja jestem Polakiem.

– Bezpaństwowiec.

– Tak nas nazywają – przyznał Lisiecki. – Ktokolwiek dzielił tę przeklętą planetę, nie uznał za stosowne, żeby oddać nam jej kawałek. Może było nas za mało. I tak skończyliśmy, bez ojczyzny, domu. A ta twoja Nowa Holandia? Powiedz szczerze, naprawdę jest twoim domem? Nie. Nasz dom jest daleko stąd. Bardzo daleko. Czasami późno w nocy, kiedy siedzę tutaj sam, zastanawiam się, czy ktoś tam, po Końcu, jeszcze żyje, a jeśli tak, to czy w ogóle o nas myśli. O tych, których pozostawili...

Zaciągnął się papierosem.

– Za dużo gadam – stwierdził nagle. – Twój koń uciekł. Nie wiem, gdzie jest, i nie miałem czasu go szukać. Wziąłem za to twoje sakwy.

– Dziękuję.

– Kim jesteś, Bram?

Holender odstawił kubek na podłogę.

– Przysłała mnie kompania handlowa Reynsensa i Klaasa. Mam zbadać sytuację, zdać raport.

Lisiecki pokręcił głową.

– Przedstawiciel kompanii handlowej? Przyjacielu, widziałem twoje papiery. Nieźle wyglądają, ale są fałszywe. Żadna kompania nie wysłałaby przedstawiciela w taką drogę samego. Przynajmniej jeśli chciałyby, żeby żywy dotarł do celu.

– To pilna sprawa.

– Poza tym – kontynuował Polak – która kompania płaci tak dużo, że jej przedstawiciele stać na to? – Sięgnął za siebie i wyciągnął szablę Holendra, po czym wycelował czubek pióra w jego twarz.

Bram podniósł się powoli z łóżka do pozycji półsiedzącej. Serce zabiło mu mocniej.

– Nie lubi mnie – stwierdził Lisiecki.

– Mało kogo lubi.

– Dalej twierdzisz, że pracujesz dla kompanii handlowej?

Holender wpatrywał się w ostrze szabli. Zastanawiał się, czy jest ona na tyle wytrzymała, żeby powstrzymać ramię Polaka. Mógłby rzucić w niego kubkiem, a potem, z odrobiną szczęścia, powalić go na ziemię, ale w porę przypomniał sobie, że jeszcze przed chwilą nie potrafił wydostać się spod cholernego koca. Był słaby, pokiereszowany i zmęczony.

Polak uśmiechnął się nagle. Delikatnie wziął ostrze w dłoń, po czym obrócił szablę rękojeścią w stronę Brama. Ten chwycił ją zaskoczony.

– Jest twoja – powiedział Lisiecki. – Czuję to. Tyle żywmetalu. Musi być warta majątek. Niemożliwe, żebyś pracował dla kompanii. Musisz być szpiegiem, przyjacielu.

Bram zacisnął usta i Polak roześmiał się na widok wrogiego wyrazu jego twarzy.

– Nie martw się, przyjacielu. Mnie to nic nie obchodzi, a w Kaźni wcale nie będziesz się wyróżniał. Tam każdy dla

kogoś szpieguje. To dla Federacji, to dla Korporacji, dla kompanii handlowych, poszczególnych lordów i książąt. A ty, Bramie? Komu będziesz słał meldunki?

Holender nie odpowiedział. Lisiecki zaciągnął się po raz ostatni i wyrzucił niedopałek na podłogę. Zgniół go podeszwą buta.

– Dobrze robisz, że nie odpowiadasz. A mnie to naprawdę nic nie obchodzi.

Drzwi chaty otworzyły się i do środka wmaszerowała drobna dziewczynka, ubrana w liczne warstwy ubrań tak grubych, że właściwie trudno było ocenić, jaką ma sylwetkę. Niosła naręcze drewna. Polak kazał jej położyć szczapki i gałęzie obok piecyka. Zrobiła to bez słowa. Potem, również bez słowa, położyła się na posłaniu w kącie i do piersi przytuliła lalkę z gałganów. Lisiecki obserwował ją uważnie.

Bram posłał mu pytające spojrzenie. Polak po chwili wahania nachylił się nad rannym mężczyzną.

– Pamiętasz, że mówiłem o innych ofiarach żlebodźwiedzia? – zapytał szeptem.

– Tak.

– Jej matka. Nie wiem, co się stało z ojcem. Nie było po nim śladu. Albo żlebodźwiedź zeżarł go w całości, albo... – Wzruszył ramionami.

– Zabiłeś tego renegata?

Lisiecki pokiwał głową, wstając.

– Dzisiaj zjesz polędwicę ze żlebodźwiedzia. A teraz odpocznij jeszcze. Trochę snu i będziesz jak nowy.

Bram długo leżał bez ruchu, udając, że śpi, a w rzeczywistości spod przymkniętych powiek obserwował Polaka. Mężczyzna zajmował się mięsem. Oprawiał, a następnie solił grube, tłuste

kawałki polędwicy. Na chwilę wyszedł po baniak z wodą, po czym wziął się do gotowania. Dziewczynka najpierw spała, potem zaś bawiła się lalką. Mężczyzna i dziecko nie zamienili ze sobą nawet słowa. Wszystko to było takie zwyczajne i nudne, że Bram, wbrew sobie, wreszcie zasnął.

Obudził go zapach mięsa i ślina, która napłynęła mu do ust. Wciąż znajdował się w chacie. Tak za oknami, jak i w środku było już ciemno. Jedyne, słabe źródło światła stanowił ogień buzujący w piecyku.

Holender podniósł się z łóżka. Dziewczynka siedziała już przy stole, przy drewnianej misie i czekała na swoją porcję. Lisiecki postawił przed nią dymiący gar z jedzeniem.

– Wstawaj, przyjacielu – rzucił przez ramię. – Czujesz się już lepiej?

– Tak – odpowiedział Bram.

Nie kręciło mu się już w głowie, a ucisk wokół czaszki znacząco zelżał. Minęła też słabość ciała, która dopadła go wcześniej.

Szabla wciąż leżała obok niego. Wziął ją w ręce i poczuł, że zadrżała delikatnie, a ostrze zaśpiewało cicho w sposób, który tylko on słyszał. Uśmiechnął się. Odłożył broń i zasiadł do stołu. Polak postawił przed nim miskę i nalał brązowej, apetycznej potrawy, w której pływały spore kawały szarego mięsa.

Jedli w milczeniu, powoli i uważnie, zagryzając kawałkami suchego chleba, który był tak twardy, że trzeba go było moczyć w zupie. Kiedy skończyli, Lisiecki pozbierał naczynia i wrzucił do wiadra pełnego wody.

– Pozmywaj, a potem kładź się spać – rozkazał dziewczynce.

Dziecko posłusznie wykonało polecenie. Bram przypatrywał się jej, kiedy krzątała się po chatce. Wyczuwał coś dziwnego

w tym dziecku, niepokojącego. Dopiero po chwili, kiedy ostrożnie myła drewniane miski, zrozumiał, co go zaniepokoiło. Była zbyt rozważna jak na swój wiek, zbyt spokojna. Równocześnie nieobecna i skupiona. Tak jakby zupełnie do niej nie docierał fakt, że dzień wcześniej straciła matkę.

Lisiecki tymczasem podszedł do południowej ściany, stanął na palcach i sięgnął dłonią do krokwi podtrzymującej dach. Ściągnął z niej lekko zakurzoną butelkę i zaraz postawił na stole. Dołożył do tego dwa kubki. Bez pytania nalał sobie i Holendrowi.

– No to siup – mruknął.

Upił potężnego łyka. Bram, chcąc nie chcąc, musiał pójść w jego ślady. To była wódka. Bardzo mocna, odrobinę smakowała ziołami. Paliła przyjemnie w język i przełyk. Holender poczuł, że krew uderzyła mu do głowy.

– Dobrze – szepnął.

– Aha.

Upili kolejny łyk.

– Jutro rano zaprowadzę cię do Kaźni – powiedział Lisiecki.
– Musisz odpocząć, żeby być w pełni sił, bo wędrówka zajmie prawie cały dzień. Będziemy szli pieszo, bagaże na plecach. Skorzystamy z bocznych ścieżek, a nie z głównego traktu, więc jest bardzo duża szansa, że podróż przebiegnie bez żadnych przykrych niespodzianek. Pasuje ci to?

Bram przytaknął.

– Czego chcesz w zamian? – zapytał, przełykając wódkę.

– Pożywienia dla mnie i dziewczyny na co najmniej pięć dni. Nowego noża. Zimowego ubioru dla małej i nowych spodni dla mnie. Amunicji. Dziesięciu metrów sznurka. Garnka. I pokoju w hotelu na wieczór.

Polak uniósł kubek do ust i uśmiechnął się pod wąsem, wpatrzony w Brama.

– Nie rób takiej miny, przyjacielu. Nie pamiętasz, że sprawdziłem, co masz w sakwach? Stać cię na to wszystko i jeszcze bardzo dużo ci zostanie. Proszę o nieprzyzwoicie mało, biorąc pod uwagę, że uratowałem ci życie.

– A jeśli się nie zgodzę?

Lisiecki wzruszył ramionami.

– Pójdiesz jutro rano swoją drogą i na własną rękę spróbujesz trafić do Kaźni. W najlepszym razie stracisz kilka dni na włóczeniu się po kniei, w najgorszym zginiesz z wycieńczenia, głodu, rąk rabusiów czy łap bestii, które tutaj mieszkają. Twój wybór, przyjacielu.

Holender wstał i podszedł do okna. Przez chwilę wpatrywał się w ciemność kryjącą się za matową szybą z grubego niekształtnego szkła.

– Twoja oferta brzmi uczciwie – stwierdził wreszcie.

Polak podniósł się, splunął na dłoń i wyciągnął w jego stronę. Bram uścisnął ją. Napięcie, które między nimi panowało w trakcie negocjacji, znikło, jakby nigdy go nie było. Wrócili do stołu. Polak wyjął torbę z tytoniem i zrobił skręta. Odpalił go w ten sam sposób co poprzednio.

– Widziałem, jak walczyłeś z tym źlebodźwiedziem – powiedział, kiedy zaciągnął się po raz pierwszy. – Jesteś żołnierzem, prawda?

– Wszyscy Holendrzy są. W mniejszym lub większym stopniu.

– Ale ty w większym.

– To prawda – zgodził się Bram. – Ja w większym. A ty?

– Ja? Byłem żołnierzem.

– Gdzie?

– Tutaj. Walczyłem na wojnie.

– Pierwszej czy drugiej?

– Obu.

– Po naszej stronie?

– A która była nasza?

– Federacji.

Polak pokiwał głową.

– W takim razie tak, chociaż nie do końca. Służyłem w wojsku księcia Kuźni.

Bram spojrzał na swoje dłonie.

– Zapewne więc nie darzysz zbyt dużą sympatią Holendrów?

Lisiecki zaciągnął się papierosem, a potem strzepnął resztkę popiołu na podłogę.

– Nie mam nic do ludu – stwierdził. – Ale tobie radziłbym się nie przyznawać, że jesteś jednym z nich. Z tych, którzy mieszkali tu przed wojną, pozostało niewiele, wciąż jednak mają żal do twojego narodu.

– A ty nie?

– Ja nie. Ale powiem ci, przyjacielu, gdyby los skrzyżował kiedykolwiek moje ścieżki ze ścieżką lorda z Kłā, to jeden z nas nie wyszedłby z tego spotkania żywy. Boże... Pamiętam Kaźń, naszych żołnierzy na wałach, a wokół pełno korporacyjnych żołdaków. Walczyliśmy z nimi wszędzie, w lasach, na skałach, pod murami miasta. I modliliśmy się, żebyście w końcu nadeszli z odsieczą. Ale wy się nie pojawiliście... Kto by pomyślał, że nienawidzicie nas mocniej niż Korporacji.

Lisiecki skończył palić, przydeptał niedopałek i natychmiast zaczął związać następnego skręta.

– Ty jesteś pewnie za młody, co? Pewnie tego wszystkiego nie pamiętasz – rzucił.

– Pamiętam – odpowiedział Bram. – Miałem wtedy pięć lat, może trochę mniej. Wszyscy mężczyźni byli spakowani i gotowi do drogi. Czekali tylko na rozkaz, ale ten nie padł. Dopiero później... Dziesięć lat później, podczas drugiej wojny.

– Ale wtedy przyszliście w kupie. Z Utherem i całą tą resztą. – Lisiecki zamyślił się z papierosem tkwiącym w kąciку ust. – To była dobra wojna – powiedział po chwili. – Wtedy też nie walczyłeś, prawda?

– Miałem piętnaście lat. Chciałem, ale ojciec zabronił. Kazał pilnować gospodarstwa.

– I miał rację. To nie była walka dla piętnastolatków. Widziałem takich. Strasznie niecierpliwi. Ginęli przy pierwszej nadarzącej się okazji. Nie potrafili czekać, a to była wojna na czekanie, przyjacielu. Leżeliśmy po kilka godzin, skryci wśród listowia, aż Korporacyjni podejną tak blisko, że będzie widać białka ich oczu.

Polak zwiesił na chwilę głowę. Ciężką dłonią podniósł kubek do ust.

– Skończyło się – powiedział i dolał sobie oraz Holendrowi. Wzniesli cichy toast za swoje zdrowie.

– Po wojnie, po rozejmie, kiedy i Federacja, i Korporacja odeszły, było tu strasznie pusto. Niewielu chciało zostać na tej ziemi. Porozrzucało nas. Było tak, że sąsiad do sąsiada miał czasami nawet dzień drogi. Potem zbudowano Kaźń, a później... Później odkryli tu żywmetal i to wszystko zmieniło. Ściągnęła tu cała masa ludzi. Z całego świata, jak mówią. I podobno ciągną kolejni. To prawda, przyjacielu?

– Prawda. Wieść o złożach się rozniosła.

Lisiecki pokręcił z niesmakiem głową.

– Żywmetal to najgorsza rzecz, jaka mogła spotkać tę ziemię.

– Niektórzy powiedzieliby, że to błogosławieństwo.

Polak prychnął i wycelował palec w stronę Brama.

– Żywmetal rozpala głowy i serca, ale jest niczym więcej jak tylko i wyłącznie pokusą. Marzeniem o wielkim bogactwie, władzy, kobietach czy kto co tam sobie chce. Rozmawiałem z tymi, którzy odkryli pierwsze złoża. Wcześniej byli to porządni, ciężko pracujący ludzie. Żywmetal zmienił ich nie do poznania. Stali się butni, władczy, przemądrzali. Wydawało im się, że skoro los raz się do nich uśmiechnął i zaczęli kopać w dobrym miejscu, to sam Pan Bóg w niebiosach spojrział na nich łaskawym okiem, obdarzył swoją łaską i wyniósł ponad nas, zwykłych śmiertelników. A to nieprawda. Jeden z tych ludzi już nie żyje, zamordowany w głębi puszczy nie wiadomo przez kogo i obrabowany. Drugi stracił wszystko, grając w karty w oberży. Trzeciego wypadek w kopalni pozbawił nogi i rozumu. Czwartego dopadł Głód. Żywmetal to złudzenie, przyjacielu, złudzenie łatwego, szczęśliwego życia. Życia za darmo, bez pracy, bez wysiłku, bez łez i cierpienia. To bajka, przyjacielu. A każda bajka jest kłamstwem. Może pięknym, ale tylko kłamstwem.

W chacie zapadła cisza. Polak bez pośpiechu nalał sobie wódki i natychmiast wypił zawartość kieliszka. Potem zabrał się za skręcanie papierosa.

– Rozgadałem się niepotrzebnie, prawda? – zapytał, układając palcami tytoń na bibułce.

Bram wzruszył ramionami. Lisiecki palił w milczeniu.

– A poza tym przez żywmetal zainteresuje się nami i Federacja, i Korporacja – stwierdził nagle. – Ta ziemia widziała już dwie wojny. Trzeciej nie potrzebuje.

Holender skinął głową, co mogło oznaczać potwierdzenie lub cokolwiek innego. Wstał od stołu. Dopiero wtedy poczuł, ile wypił. Z trudem utrzymał równowagę.

– Pójdę już spać.

– Tak. Wyśpij się.

Bram położył się do łóżka i zasnął niemal natychmiast. Polak zaś jeszcze długo siedział z papierosem w dłoni. Na jego twarzy na przemian pojawiał się wyraz irytacji, gniewu, rezygnacji, smutku i zdecydowania. Żadne z tych uczuć nie potrafiło jednak zagościć na dłużej, przeganiane przez następne tylko po to, żeby powrócić wraz z kolejnym kieliszkiem czy cichym beknieniem. Wreszcie Lisiecki wzniósł niemy i wściekły toast, rzucił tłący się na pomarańczowo niedopałek na podłogę, po czym udał się na spoczynek.

Dziwną stanowili kompanię. Mała dziewczynka odzywała się tylko do krzewów i roślin, a na postojach czule głaskała kamienie; Polak wyglądał tak, jakby żałował, że zgodził się na tę wyprawę, i co chwila zarządzał postój, żeby sprawdzić ślady lub ruszyć samotnie na zwiad boczną ścieżką, i wreszcie obolały Bram, który co trzeci krok syczał z bólu. Do tego nie potrafił pozbyć się rosnącej w żołądku kuli lęku. Nie wiedział, czego się bał i dlaczego, ale to coś nie dawało mu spokoju. Próbował porozmawiać o tym z Polakiem, ten jednak zbył go machnięciem ręki.

– Tutaj większość tak ma, przyjacielu. Szybko się przyzwyczaisz – powiedział tylko i nakazał ruszyć dalej w drogę.

Wreszcie, po prawie całodziennym marszu, Bram zobaczył po raz pierwszy cel swojej podróży – Kaźnię.

Miasto miało kształt długiego, wijącego się robaka, którego boki stanowiły mury domów. Niedaleko znajdowało się kilka skalistych wzniesień oraz niewielka rzeka. Kaźń składała się z dwóch części. Pierwszą stanowiło stare miasto, powstałe jeszcze przed odkryciem żywmetal. Budowano je z rozmysłem – budynki stanowiły dla siebie nawzajem ochronę, w poprzek głównej ulicy stała brama broniąca wejścia oraz zachowano

miejsca na stanowiska strzeleckie. Same domy zaś wydawały się mocno, solidnie i starannie zbudowane. Druga część Kaźni musiała powstać już po odkryciu złóż, bo ci, którzy przybyli do miasteczka w poszukiwaniu sławy i bogactwa, budowali swoje schronienia naprędce i byle jak, nie przykładając się specjalnie. Część z nich zadowalała się tylko płóciennymi namiotami. Miejsca wybierano bez zastanowienia, więc kilkaset szop i chałup zmieniło się w rezultacie w istny labirynt małych uliczek, wewnętrznych podwórek, ślepych zaułków. Łącznie, jak szybko ocenił Bram, Kaźń mogło zamieszkiwać nawet grubo ponad tysiąc osób.

– Codziennie jedni przybywają, a drudzy wyruszają na szlak w poszukiwaniu żywmetalu. Kaźń przypomina teraz prawdziwy rój – powiedział Lisiecki.

Godzinę później dotarli na miejsce. Polak poprowadził ich do oberży znajdującej się w starszej części miasta. Zgodnie z umową Bram wynajął mu i dziewczynce pokój oraz zapłacił zadatek w bonach żywnościowych, chociaż w Federacji normalnie płacono monetami z żywmetalu lub innych kruszców. Umówił się z Lisieckim, że na zakupy wyruszą wspólnie jutro rano. Polak miał mu pokazać, gdzie można kupić konia, zapasy i broń, a przy okazji pomóc w targowaniu się.

Po pożegnaniu Bram zaczął szukać miejsca, które znał jako hotel Sava. Odnalazł go w najstarszej części Kaźni. Tworzył ją niewielki placyk ze stojącą pośrodku pojedynczą kolumną z białego kamienia. Otaczały zaś szczelnie – niczym mury – przysadziste kanciaste budynki.

Hotel okazał się sporym, starannie podmurowanym dwupiętrowym domem, zbudowanym z mocnego, twardego drewna. Ściany zdobiły obrazy lub rzeźby przedstawiające nagie

kobiety zobrazowane tak szczegółowo i w tak wyuzdanych pozach, że jeśli ktokolwiek miałby wątpliwości, z czego naprawdę żyje właściciel hotelu, szybko musiałyby się ich pozbyć.

Bram wszedł do środka i natychmiast otoczył go kłęb siwego tytoniowego dymu, tak mocnego, że szczypał w oczy. Dało się w nim wyczuć delikatną woń marzyziela i opium.

Trochę potrwało, zanim przyzwyczał się do dymu. Znajdował się w dużej, pojedynczej izbie, która zajmowała niemal cały parter budynku. Pod jedną ze ścian znajdowały się bar i wejście do innego pomieszczenia, najprawdopodobniej kuchni. Pozostałą przestrzeń zajmowały stoliki do kart i ruletki, pozbierane chyba zewsząd kanapy oraz leżanki, ustawione tak, że trudno było dojrzeć w tym jakikolwiek porządek. Na ścianach wisiały wypreparowane łby upolowanych w okolicy zwierząt: szablózębego wilka o kłach jak sztylety, bardziej przypominającego kota niż psa, stukojki z trującym rogiem czy ksalomonta, który pomimo groźnego wyglądu i szerokich zębów, jakby stworzonych do kruszenia kości, był łatwiejszy do upolowania od dzikiej świni. Trofea sprawiały jednak wrażenie starych i zeżartych przez mole, a tam, gdzie kiedyś znajdowały się kłęby gęstej, lśniącej sierści, teraz widniały żałosne, gołe placki popękanej skóry.

Kilka siedzisk zajmowały znudzone kobiety, ubrane tak lekko i wyuzdanie, jak tylko pozwalał na to panujący w budynku chłód. Zbite w gromadę, wymieniały leniwie półsłówka, dzieląc się cienkimi skrętami i resztką wódki z poprzedniego dnia. Wyglądały na zniechęcone, zmęczone i wściekłe, a Brama zaszczyciły jedynie krótkimi, ale pełnymi pogardy spojrzzeniami.

Na leżankach w głębi izby spało dwóch mężczyzn o uśmiechniętych i spokojnych twarzach. Holender zwrócił uwagę na ich

buty – solidne, wojskowe, zadbane, pastowane najdalej wczoraj wieczorem. Potem na spodnie – w kolorze zgniętej zieleni, z kieszeniami po bokach. Jedna z kobiet, być może z poczucia obowiązku, postanowiła go zaczepić.

– Czołem, rycerzu. Chcesz się zabawić?

– Może nie dzisiaj, panienko – odpowiedział, wpatrzony w mężczyzn.

Obok nich na wojskowych kurtach leżały pancerze. Nieco powgniatane i zabrudzone, ale wciąż w bardzo dobrym stanie. Kilka elementów było świeżo wymienionych. Chroniły głównie klatkę piersiową oraz ramiona, stanowiły niewielkie obciążenie i zarazem zapewniały maksimum swobody ruchu. Broniły przed większością broni białej, a także, przy odrobinie szczęścia, przed bronią palną. Wykorzystywała je zazwyczaj lekka piechota i kawaleria oraz zwiadowcy.

Bram wyprostował rękaw jednej z kurt. Tak jak się spodziewał, znalazł tam logo Korporacji: wstęgę Möbiusa z trzema gwiazdami pośrodku i slogan wyszyty na szarym kawałku materiału czarną opalizującą nicią: „Biznes to ludzie. Korporacja jest z Tobą”.

Pomiędzy mężczyznami leżała duża misa z dopalającymi się fajkami z marzyzielem. To tłumaczyło spokojny i słodki sen żołnierzy. Bram przypatrywał im się jeszcze chwilę, próbując zapamiętać ich twarze i zastanawiając się, co zrobić. Jeszcze w Federacji przekazano mu, że hotel Sava to dla niego jedyne pewne i bezpieczne miejsce w całym dawnym księstwie Kuźni, a ledwo tu dotarł, od razu trafił na dwóch żołnierzy Korporacji. Ciekawe, gdzie były ich pasy z bronią. Przynajmniej nie wyglądali na zbyt niebezpiecznych, ale w mieście mogło być ich więcej. Przytomnych, nie naćpanych.

– Mogę w czymś pomóc!?

Za barem stał łysy mężczyzna w białej koszuli i kamizelce. Musiał mieć około czterdziestu lat. Wpatrywał się uważnie w Holendra. Dłonie trzymał pod ladą, zapewne zaciśnięte na rewolwerze, kuszy lub innej broni.

Bram uśmiechnął się przyjaźnie i powoli podszedł do barmana.

– Witam. Właśnie szukałem kogoś, kto mógłby mnie obsłużyć.

– Ja cię chciałam obsłużyć! – odezwała się prostytutka, która wcześniej go zaczepiła. – Ale ty nie chciałeś! Mick, to jakiś pedał jest. Powiedz mu, że my w Kaźni nie lubimy pedałów!

– Zamknij się, Mette! – wrzasnął barman.

Prostytutka zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, ale zaraz spuściła głowę i zajęła się marną resztką papierosa, która jarzyła się jej pomiędzy palcami. Kobieta mruczała coś pod nosem.

Mężczyzna o imieniu Mick uśmiechnął się do Brama przepraszająco.

– Przepraszam pana. Mette bywa... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – natarczywa.

– Szukam Savy.

Barman uniósł lekko jedną brew.

– Savy? Ma pan jakiś interes? Chce pan coś zostawić, przekazać?

– Przekazać.

– Co takiego?

– Że w Bramie Północy róże kwitną także zimą.

Mick, nawet jeśli zdziwił się, słysząc tę absurdalną kwestię, to nie dał tego po sobie poznać. Jego twarz była jak wykuta z kamienia. Malowało się na niej tylko pełne skupienie i być może

jeszcze coś na kształt irytującej życzliwości, którą mają tylko ci, co uważają, że widzieli już wszystko.

– Mette! – krzyknął, nie spuszczać oka z Holendra.

Prostytutka niechętnie podniosła się z fotela.

– Idź do pani Savy i przekaz jej, że... – Spojrzał na gościa.

– W Bramie Północy róże kwitną także zimą – powtórzył Bram.

Oczy dziwki zmieniły się w dwa znaki zapytania.

– Idź! – wrzasnął Mick.

Mette prychnęła lekceważąco, ale popędziła schodami na piętro.

– Napije się pan czegoś? Zje pan coś? Chciałby pan podupczyć? – zapytał tymczasem barman.

– Napiłbym się.

Bram zajął miejsce przy barze. Rzucił obok swoje torby.

– Czego pan sobie życzy?

– Macie piwo?

– Miejscowe. Trochę mętne i mocno ziołowe. Z jakiegoś powodu nasi dostawcy nie potrafią się pozbyć tych aromatów.

– Może być.

Barman wyjął spod lady drewniany kufel, przetarł go szmatą i podszedł do beczki stojącej niedaleko. Odkręcił mosiężny kurek i napełnił naczynie, po czym podał je Holendrowi. Piwo mocno się pieniło, miało słaby żółty kolor o zielonkawym zabarwieniu, ale może była to wina koloru drewna, z którego wykonano kufel. Z duszą na ramieniu Bram upił łyk. Smakowało tak sobie, było mocno rozwodnione, a jednak rzeczywiście miało intensywnie ziołowy, trochę gorzkawy, a trochę kwaskowaty aromat.

– I co, dobre? Pasuje panu? – zapytał Mick.

Wciąż mówił z tą denerwującą manierą, na pograniczu rozbawienia i protekcjonalności.

– Sava mówi, że ten facet ma do niej przyjść! – krzyknęła prostytutka, schodząc z piętra na parter.

Barman skinął głową.

– Mette pana zaprowadzi. Drugie piętro, trzeci pokój po lewej stronie.

Kiedy Holender sięgnął po swoje rzeczy, Mick powstrzymał go gestem.

– Niech pan zostawi. Przypilnujemy.

– Dobrze.

– Powinien pan też zostawić broń.

Bram zawahał się. Wreszcie wzruszył ramionami, odpiął pas z rewolwerem i szablą, po czym rzucił go na podłogę.

– Niech nic nie zginie – powiedział.

– Ma pan to jak w banku.

Holender poszedł za Matte. Dziwka zaprowadziła go na drugie piętro, a potem pod odpowiednie drzwi. Zapukała.

– Wejść! – rozkazał ktoś w środku.

– Teraz radź sobie sam – mruknęła dziewczyna, odchodząc.

Holender obserwował, jak schodzi, potem wziął głębszy oddech i wszedł do pokoju.

O ile na dole panował chaos i przepych, o tyle to pomieszczenie było urządzone prosto, wręcz ascetycznie. Na skromne umeblowanie składały się komoda z ciemnego drewna, spora szafa i niewielki, stojący pod jedną ze ścian stół, na którym znajdowały się jeszcze resztki obiadu. Centralne miejsce pokoju zajmowało zawalone papierami biurko. Siedziała za nim kobieta, w której Bram rozpoznał Savę. Wyglądała dokładnie tak, jak mu opisywano – wysoka, szczupła, ubrana w prostą

szarą suknię, o bladej cerze, wielkich czarnych oczach i lekko kręconych kasztanowych włosach, które opadały jej do ramion. Przypominała łagodną, może trochę przestraszoną łanię, ale Holender wiedział, że to mylne wrażenie. Sava potrafiła bowiem kąsać jak żmija.

– Pani, przybyłem...

Nim zdążył dokończyć, poczuł, jak czyjaś dłoń zaciska mu się na ramieniu, a w plecy, mniej więcej na wysokości wątroby, wbija się czubek noża. Z trudem powstrzymał się od jakiegokolwiek ruchu. Rzucenie się do walki lub choćby samo obrócenie się zapewne kosztowałyby go życie.

– Nie ruszaj się! – warknął ktoś za nim suchym i zachrypniętym damskim głosem.

Dłoń opuściła jego ramię i zaczęła powolną wędrówkę w dół, po drodze sprawdzając każdy zakamarek i kieszeń w ubraniu.

– Jest czysty – powiedziała zachrypnięta kobieta.

– Puść go.

Czubek noża odsunął się od Brama. Holender wypuścił z ulgą powietrze z płuc. Spojrzał za siebie. Stała za nim niewysoka, ostrzyżona na jeża dziewczyna w męskim ubraniu. Jej twarz szpeciła czerwona, nabrzmiała blizna, która ciągnęła się od lewego oka w dół, przez szyję, aż ginęła pod koszulą. Z pasa wokół bioder zwisało kilka noży różnej długości.

– Mówiłeś, że przybyłeś... Skąd? – zapytała Sava.

Bram mógłby przysiąc, że w kąciку jej warg pojawił się złośliwy uśmiezek.

– Wolałbym mówić z tobą na osobności.

– Proszę nie przejmować się Ellen. Jesteśmy, można powiedzieć, jednością. Co mówisz mnie, równie dobrze możesz od razu powiedzieć jej. W drugą stronę też to działa.

– Pomimo tego nalegam.

Sava po chwili namysłu pstryknęła palcami i Ellen niechętnie wyszła z pokoju.

– Zadowolony? – zapytała kpiarskim tonem.

– Przybyłem z Bramy Północy. Przysłała mnie Uther.

Sava ułożyła usta w uroczy dzióbek.

– Uther? Sam władca Federacji?

– Tak. Miałaś dostać informacje...

– I dostałam – przerwała mu. – Że Federacja kogoś przesła na przeszeptanie. Federacja, byt nieokreślony, dość niemrawy i niejasny. Uther... Uther to coś zupełnie innego.

Uśmiechnęła się tajemniczo i sięgnęła do kredensu po dwa kieliszki z kryształu oraz butelkę.

– Napijesz się? – zapytała. – Czerwone. Słoneczne z Białej Wyspy.

– Nie, dziękuję.

– Oczywiście – stwierdziła. – Na pewno przywykłeś do lepszych trunków. Bardziej wykwintnych, dworskich. Słoneczne zapewne niegodne jest twojego podniebienia, nieprawdaż?

Holender posłał Savie pytające spojrzenie.

– Widziałam cię podczas jednego z tych głupich turniejów organizowanych w Bramie Północy przez naszego ukochanego króla Uthera – wytłumaczyła. – Startowałeś chyba w boksie i, o ile pamiętam, zająłeś trzecie miejsce. Ty jesteś Bram van der Hagenhooper, syn i dziedzic lorda Kła i stadhoudera Nowej Holandii.

Bram poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku.

– Swoją drogą – kontynuowała Sava – Uther musi mieć niezły tupet, skoro to właśnie ciebie tutaj przysłał.

Holender przełknął ślinę.

– Jednak poproszę o wino – powiedział.

*

Szeryf James L. Siren lubił myśleć, że Kaźń należy tylko do niego. Pod pewnymi względami zresztą naprawdę tak było. Chociaż nad niektórymi budynkami w mieście, takimi jak hotel Savy, nie miał kontroli, to nikt w okolicy nie trzymał w swoim ręku tyle władzy, ile właśnie on. Świadomość tego faktu napęlała jego serce dumą.

Szkoda tylko, że Siren Kaźni po prostu nienawidził. I nie było to wcale puste sformułowanie czy rzucona w gniewie uwaga, ale raczej krystalicznie czyste, gorące jak wylewająca się z hutniczych pieców surówka uczucie, które czasami przerażało jego samego. Nienawidził Kaźni, nienawidził tłumu marnych poszukiwaczy żywności ściągniętych tu z całego świata, by spełnić swe marzenia, a powodujących tylko kłopoty. Jedyny z nich pożytek był taki, że dawali się oskubać do kości każdemu, kto miał choć odrobinę oleju w głowie.

A jednak szeryf służył tym tępym bydłom najlepiej, jak potrafił. A to dlatego, że był dobrym człowiekiem, a przynajmniej lubił tak o sobie myśleć.

Wstał z krzesła, podszedł do barku po butelkę whisky i nalał sobie pół szklanki. Upił łyk i niechętnie wrócił do rozrzuconych na biurku papierów. Zaczął leniwie przyglądać się kartce, na której jakiś poszukiwacz dziecinny, nierównym pismem opisał, robiąc przy tym pełno błędów, kolejny napad chudzielców na północnym wschodzie. Zginęła jedna osoba.

Wiść o tym wydarzeniu rozniosła się już po mieście, wiedział więc, czego ma się spodziewać. Wkrótce grupa zatro-

skanych obywateli przyjdzie do niego i przestępując z nogi na nogę, miętołąc w dłoniach kapelusze, zażąda płacziwym, proszącym tonem, żeby zajął się chudzielcami. Oczywiście żaden z nich nie będzie chciał poświęcić choćby bochenka chleba ze swojej spiżarni na zorganizowanie ekspedycji. Siren zmiął kartkę w kulkę i rzucił ją na podłogę.

Wziął kolejny papier, list od doktora Carridana, wysokiego jak tyczka, chuderlawego mężczyzny o krowich oczach, o którym nawet nie było wiadomo, czy ma prawo nazywać się lekarzem. Carridan skarżył się, że brakuje mu miejsca w szpitalu oraz jedzenia w jadłodajni dla ubogich. Kolejne ofiary Głodu leżały na ziemi upakowane tak ciasno, że nie dało się pomiędzy nimi przejść, a biedni szturmowali kuchnię, grożąc kucharzowi, który pokazywał im puste garnki. Carridan błagał o kolejny namiot oraz więcej jedzenia. Siren poczuł męczący ucisk wokół czaszki. Czasami miał wrażenie, że najlepszym rozwiązaniem problemu Głodu byłoby pójście do tej umieralni, szumnie nazywanej szpitalem, z rewolwerem i kilkoma pudełkami naboju oraz strzelenie każdemu z tych nieszczęśników w łeb. Czy kiedykolwiek ktokolwiek wyleczył się z Głodu? Szeryf nie potrafił sobie przypomnieć, a co do ubogich... Mogli, kurwa, zdychać.

Tyle że nie tego od niego oczekiwano. Dobrzy obywatele Kaźni chcieli, żeby poskromił chudzielców, zorganizował pomoc dla Głodujących i ubogich, a do tego zapewnił porządek w mieście i bezpieczeństwo na szlakach. Ciekawe, skąd miał wziąć na to ludzi i pieniądze. Najgorsze było to, że nie mógł po prostu rzucić tych wszystkich papierów do kominka, a potem jednemu i drugiemu dać po mordzie na uspokojenie. Nie dlatego, że się ich bał. Nie spodziewał się również, by którykolwiek z mieszkańców Kaźni miał dość jaj, żeby próbować go odwołać

ze stanowiska – chociaż oczywiście mogli od czasu do czasu o tym rozmawiać. Ale tylko wtedy, kiedy mieli pewność, że nie usłyszeli ich ani on, ani żaden z jego ludzi. Nie, chodziło o coś innego. Siren był przekonany, że prędzej czy później Korporacja albo Federacja przyślą do Kaźni jakiegoś chojraka z wielką spluwą i kilkoma osiłkowatymi pomagierami, a ten zechce zająć jego miejsce. Zbyt dużo żywmetalu w tej ziemi, zbyt wielkie bogactwo do zdobycia, żeby ktoś nie spróbował położyć na tej mieścinie swojej łapy. A kiedy ten dzień w końcu nadejdzie, Siren wolał mieć mieszkańców po swojej stronie.

A do tego była jeszcze córka Biszka.

Sięgnął po whisky i upił kolejny łyk. Ciekawe, co się stało z tą dziewczynką. Rozesłał za nią ludzi, ale nie znaleźli jej ani w Kaźni, ani w okolicznych siedliskach. Wszystko wskazywało na to, że razem z tępą matką padła ofiarą chudzielców, dzikich psów czy tego źlebodźwiedzia, który miał się pojawić w okolicy. A byłem już tak blisko, pomyślał ze złością.

Jednym haustem dopił resztkę i odstawił szklankę z impetem na stół, a potem beknął przeciągle.

W tym samym momencie do biura wszedł Iwan. Olbrzym skinął na przywitanie głową i bez słowa oparł się o ścianę. Siren dołał sobie whisky, wrócił za biurko i dał mu ręką znak, że może mówić.

– Przyjechał nowy.

– Codziennie przyjeżdżają nowi – mruknął w odpowiedzi szeryf.

– Ten jest inny, szefie.

Siren zmrużył powieki i przyjrzał się uważnie Iwanowi. Rosjanin nie należał ani do specjalnie inteligentnych, ani do specjalnie spostrzegawczych, ale nie był też głupi. Jeśli uznał,

że w przybylszu było coś niepokojącego, to należało go przynajmniej wysłuchać.

– Mów – rozkazał szeryf.

– Przyjechał sam, z tego, co wiem. Bez karawany, bez towarzyszy, bez bagaży, szpadli, sitek, motyk.

To rzeczywiście było niepokojące. Uczciwi ludzie przybywali do Kaźni z dwóch powodów: albo żeby handlować, ale wtedy prowadzili ze sobą wypchane jedzeniem i towarami na wymianę wozy, albo żeby szukać żywmetal, a i wtedy rzadko przyjeżdżali samotnie i bez podstawowego wyposażenia. Przybysz mógł również być zwykłym łotrem rabującym poszukiwaczy, ale tacy zazwyczaj nie włączyli się w pojedynkę.

– Co dalej?

Iwan charknął i splunął na podłogę zielonobrunatną flegmą.

– Inaczej się rusza, szefie. Tak pewniej. Wie szef, tak jakby skurwiel myślał, że słońce wschodzi tylko dla niego. Poza tym buty. Dobrze, mocne, drogie. Z baskijskiej ryby.

To wielkie, groźne i drapieżne bydlę żyło we Wschodnim Oceanie. Z jego tłuszczu wytapiano świece, ości służyły do szycia gorsetów, z płatów czołowych robiono pożądane przez żołnierzy pancerze, z zębów sztylety, którym ostrości nie mogło dorównać nic innego, a ze skóry najlepsze i najdroższe buty oraz kurty – wytrzymałe, mocne, ciepłe i nieprzemakalne. I drogie jak sama cholera. Siren przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób Iwan rozpoznał, że buty zrobione są właśnie z tego materiału, jednak postanowił nie pytać. W Kaźni każdy miał swoje małe sekrety. Szanował to.

– Gdzie teraz jest?

– U Savy, szefie. Tam chyba poszedł najpierw. Na nic się nie oglądał.

Siren pokiwał głową.

– Dobra robota, Iwan.

– Dzięki, szefie.

– Napij się, jeśli masz ochotę.

Rosjanin sapnął z lubością i dopadł do barku. Nalał sobie pełną szklankę whisky i od razu wypił połowę duszkiem. Otarł usta rękawem i wyszczerzył zęby. Oczy błyszczały mu z radości i od alkoholu.

Szeryf tymczasem przerzucał leżące na biurku kartki papieru, a jego wzrok ledwie prześlizgiwał się po zapisanych na nich słowach. Rozwagał to, co usłyszał. Samotny przybysz. Czyli w najlepszym razie szalony zbójnik, który szybko zginie w lasach wokół Kaźni, rozszarpany przez mieszkające tam dzikie zwierzęta, chudzielców albo zastrzelony przez ludzi Starego. Ale populacja szalonych zbójników nie jest zbyt wielka i prawdopodobieństwo, że jeden właśnie przybył do Kaźni, również nie było duże. Dobre buty z baskijskiej ryby, mocne, drogie. Tak – Siren mlasnął, przełykając ślinę, w której wyczuwał jeszcze wyraźny smak podłej whisky – dobre buty kosztują. Poszukiwacze w takich nie chodzą, nie stać ich, a jeśli chodzą, to znaczy, że skądś je mają. A to już było niepokojące. No i Sava. Cholerna, dumna dziwka, która zawsze traktowała go z góry, jakby to, że kupowała dziewczyny za parę żywnościowych bonów, żeby potem oddać je tabunowi brudnych, napalonych poszukiwaczy, czyniło ją lepszą od niego. Każde słowo, które do niego wypowiedziała, ociekało pogardą. Siren niejednokrotnie miał ochotę chwycić jej kształtną czaszkę i ścisnąć tak mocno, aż kości pękną, a ze szczelin zacznie wypływać krwistoszara breja. Nie zrobił tego tylko dlatego, bo wiedział, że Sava przed śmiercią odgryzłaby mu przynajmniej dwa palce. A Siren lubił swoje palce.

Sava... Mówili o niej, że ma możnego protektora w Federacji, któremu donosi, co się dzieje w Kaźni. Jakąś kompanię handlową albo kogoś na dworze Uthera. Siren podrapał się po policzku. Samotny przybysz, dobre buty, Sava. Potrafił dodać dwa do dwóch. Podjął decyzję.

– Przygotuj się, Iwan – rzucił. – Pójdziemy się przyjrzeć temu przybyszowi.

*